Nr. 3. **Kuryerek Poznański.** Rok 1.

Kuryerek Poznański wychodzi dwa razy na tydzień, w Środę i w Sobotę. — Prenumerata kwartalna wynosi 22 sgr. 6 fen. Inseraty 1 sgr. od wiersza.

Poznań, dnia 22. Kwietnia 1865.

Zamiejscowi prenumerować mogą na pierwszy kwartał tylko w księgarniach, miejscowi w biórze redakcyi Kuryerka Poznańskiego, ulica Strzelecka Nr. 1.

Wszystkich Panów Księgarzy zamiejscowych upraszamy o zawiadomienie nas o liczbie abonentów, abyśmy wiedzieli ile egzemplarzy przesyłać mamy. **Redakcya.**

Rok 1861. w Warszawie.

Przez

Świętosława z Pasiek.

Ciąg dalszy.

W niniejszym rozdziale naszéj powieści, wypada nam koniecznie bliżéj zapoznać czytelników z przeszłością naszych bohaterów.

Marya, ta poetyczna, młodziuchna istota, którąśmy poznali pierwszy raz na grobie ojca, jest sierotą, córką kapitana wojsk polskich, który po roku trzydziestym opuścił kraj, i gnany tęsknotą błąkał się długo po obcych krajach. Za granicą poznawszy się z dawnym swym kolegą pułkownikiem B. i odświeżywszy dawną przyjaźń, bo pono sięgającą jeszcze ław szkólnych, wspólnie zamieszkał mały domeczek na jednéj z ulic Paryża. Musimy jeszcze dodać, że pułkownik był wdowcem i miał córkę śliczną, piękną czarnobrewę, którą przyciskając do swego łona, swym najdroższym nazywał skarbem. Śliczna ta dziewczyna odebrała wychowanie jak najstaranniejsze, lecz w szale zbytniéj miłości ojcowskiéj bodaj, czy nasz pułkownik nie przesadził. Marya zatém zostawiona sama sobie, wykołysana pieśniami naszych wielkich wieszczy, bez matki, trawiona tęsknotą za krajem, wyrodziła się na dziwną jakąś nadziemską istotę. Smutnie było patrzeć na ten młodzieńczy kwiatek, który wiądł z daleka od kraju, nie zaznawszy nawet co życie, już giął się pod jego ciężarem. Pułkownik, który żył ciałem i duszą dla Polski i Maryi, zamiast starać się córkę wyleczyć z téj niebezpiecznéj choroby, jeszcze dolewał oliwy do ognia, zamknął się z nią w domowém zaciszu, w schludnym białym domku na przedmieściu Paryża, otoczył książkami, sprowadził fortepian, i opowiadał jéj o szaréj naszéj Wiśle, któréj nigdy Marya nie widziała, to znów o matce, która tam z wysoka modli się za nich. To też młode dziewcze wchodziło w szranki życia zupełnie nieprzygotowane na ciosy losu, które miały zranić jéj młodociane serce. Wkrótce zasłabł nasz pułkownik; przy jego łożu całe noce bezsennie przesiadywali kapitan i młodziuchna Marya z zapłakanemi oczyma. Teraz pułkownik poznał swój błąd i drżał z obawy nad losem Maryi. Tymczasem słabość robiła coraz większe postępy, przywołany lekarz mało robił nadziei, pułkownik słabł z dniem każdym, aż nareszcie czując się blizkim zgonu, zrobił testament, w którym biały ów domek, trochę gotowizny i wszystko co miał, zapisał Maryi; kapitana zaś zrobił jéj opiekunem. Czy choroba robiła tak nagłe postępy, czy też ostatnie rozporządzenie tak bardzo wpłynęło na słabość pułkownika, dość, że pułkownik wycieńczony na siłach, nie kazawszy przywołać nawet kapłana, zasnął snem wiecznym, rzucając Maryi i kapitanowi obłąkanym wzrokiem ostatnie pożegnanie.

Czytelnicy nasi mogą sobie wystawić rozpacz eksaltowanéj Maryi, na widok śmierci ojca, którego tak bardzo kochała, a z którego śmiercią traciła wszystko co miała na ziemi. To téż na widok téj śmierci, któréj się nie spodziewała, wpadła Marya w kurcze, a poczciwy kapitan, niemający z chorobami kobiecemi mimo czterdziestego piątego roku nigdy nic do czynienia, w nader trudném był położeniu.

Przerażający był pogrzeb naszego pułkownika, stary kapitan i kilku rodaków szli za ciałem w smutnéj pogrążeni zadumie, bo kto wie, może i oni niezadługo spoczną po trudach ziemskich na obcéj ziemi, i nie będą nawet mieć téj pociechy, żeby ich kości spoczywały na ojczystym brzegu. Marya walczyła tymczasem między śmiercią a życiem. Młodość jednakowoż przemogła, po kilku tygodniach Marya zwlokła się z łoża, ale o ileż smutniejszym wydawał jéj się obecnie ten świat; ostatni węzeł co ją z nim łączył już był zerwany. Kapitan, który jak wiemy, został testamentem zrobionym w ostatniéj chwili przez pułkownika opiekunem Maryi, szczególniéj się tą opieką zafrasował. On, co dawniéj nigdy z kobietą dwóch słów nie mówił, został opiekunem młodziuchnéj dziewczyny, która mu za życia pułkownika swojém ukształceniem, którego on ani nie czuł potrzeby, ani nie rozumiał, imponowała. Zrzucić się z téj szczególnéj opieki było mu niepodobna, bo go wiązała ostatnia wola zmarłego przyjaciela.

Po śmierci pułkownika pierwszy krok kapitana był, że się wyprowadził z swego mieszkania, dla Maryi wyszukał stósowną kobietę, Francuzkę wdowę, która ją doglądała w chorobie i razem z nią mieszkała. Kapitan zaś codziennie przychodził, siadywał całe godziny przy łożu choréj i z troskliwością ojcowską śledził wątku jéj choroby.

Młodość i sztuka lekarska jak widzieliśmy, wzięły górę nad słabością, ale smutek i czarna melancholia zostały na zawsze w sercu dziewczęcia.

Kapitan w trudném był położeniu, dnie mijały, mijały miesiące, kapitan myślał a nie umiał zaradzić złemu. Marya codziennie siadywała na grobie ojca, sadziła na nim kwiatki, podlewała łzami, w nocy go widywała, rozmawiała z nim, pieściła się, czasami siadywała do fortepianu i grała całe godziny, ale grała tak smutnie, że kapitan i Francuzka, którzy nie byli zbyt uczuciowi, mieli łzy w oczach.

Kapitan zachodził w głowę co tu począć, jak tu zaradzić złemu? Myślał i myślał i nic nie mógł wymyśleć. Gdybym tak dwadzieścia lat był młodszy, jużbym wiedział co zrobić! Ale dziś, dziś gdy już srebrny szron pokrywa

moją głowę, nie, to niepodobna, i zamyślony, zły na siebie i na los który mu takiego figla wypłatał, wracał do domu.

Długo nasz biedny kapitan męczył się z tą myślą jak zaradzić złemu, aż nareszcie zebrawszy całą odwagę kapitańską, ubrawszy się w nową czamarkę i przybrawszy jakąś poważną, uroczystą fizyognomią, powolnym krokiem podążył do mieszkania swéj pupili.

Tutaj zatrzymał się, odchrząknął i pomału, nieśmiało wszedł do mieszkania Maryi. Zastał ją przeglądającą pamiętniki ojca, smutną i zapłakaną. Smutek i boleść dziewicy dodały odwagi naszemu bohaterowi, wyprosił więc na chwilę do drugiego pokoju towarzyszkę Maryi (chociaż to było zupełnie zbyteczném, gdyż Francuzka nie rozumiała ni słowa polskiego). Tu w krótkości opowiedział jéj cel w jakim przyszedł. — Ojciec pani, rzekł, zrobił mnie nad panią opiekunem, włożył ciężki, nader ciężki na mnie obowiązek, ja go muszę dotrzymać, bom nigdy słowa mego dotychczas nie złamał. Ale powiedz pani, czy podobna mi jest obowiązek mój dostatecznie wypełnić? jeden jest tylko sposób, to jest: Pani mi odda swą rękę, ja dla pani będę bratem, mężem, ojcem, przyjacielem. — Ale proszę o szczerość i otwartość, może pani być zemną szczęśliwą? dobrze, odrzuci pani moją rękę, ja zostanę dla pani jak dotychczas opiekunem, przyjacielem, a może też Bóg łaskawy się zmiłuje i da mi jaki sposób ratowania pani z jéj smutku.

Oczy Maryi zapełniły się łzami. Podała kapitanowi rękę i serdecznie go ścisnęła. Po chwili rzekła: Dziękuję panu, panie kapitanie, za tę opiekę, jaką mnie biednéj, bez przytułku ofiarujesz sierocie. Bóg i ojciec mój, który obecnie patrzy na ten czyn twój szlachetny, kiedyś ci zań zapłacą; ja dla ciebie będę żoną, córką, ja będę cię pielęgnować w chorobie, będę starać się uprzyjemnić ci dzień każdy, bo wielkie jest twoje poświęcenie, jam go nawet przyjąć nie powinna, ale taka jest wola niebios. Wczoraj widziałam we śnie ojca, widziałam go z rozpromienioną twarzą, mówił do mnie dużo, mówił mi, że się nie mam smucić, bo ty, kapitanie, ty mi zastąpisz ojca tu na ziemi, a niedługo ujrzemy się wszyscy razem i nigdy między nami nie będzie rozłączenia. Kapitan pocałował dziewczynę w czoło, a w miesiąc później polski pleban związał ręce 45letniego kapitana z 20letnią Maryą.

Żyli sobie szczęśliwie, smutek pomału znikał z czoła młodéj mężatki, jednak tęsknota jak gość niepotrzebny często zawitała do serca Maryi. W rok obdarzył Pan Bóg to szczęśliwe stadło maleńką, z niebieskiemi oczyma, złotowłosą Maryą. Kapitan był całkiem szczęśliwy, potrzeba mu tylko było żyć w Polsce, nikt mu więc za złe wziąść nie może, że starał się przez różne przeważne wpływy dostać napowrót do Polski, i dzięki tymże wpływom, powrót był mu do kraju dozwolony. Nasz kapitan sprzedał maleńki domek w Paryżu, wystawił skromny lecz gustowny pułkownikowi nagrobek. Kapitanowa pożegnała się ostatni raz z grobem swego ojca i ziemią francuzką, która stała się dla niéj drugą ojczyzną i z mężem pojechała do Polski. Kapitan kupił w Warszawie dworek na Marszałkowskiéj ulicy, sprowadził żonie piękny fortepian, otoczył ją wszystkiemi wygodami i żył szczęśliwy na łonie familijnego szczęścia.

Mała Marya ślicznie się rozwijała, w młodziuchnéj téj dziecinie widać rozum i nad wiek pojęcie. To też to dziecię stało się pieszczoszką rodziców. — Już chodziła na pensyą, już miała lat 9 kiedy się urodził braciszek, Józef, któregośmy w pierwszym rozdziale naszéj powieści poznali płaczącego obok Maryi na smętarzu. W szczęściu lata szybko biegą, szybko téż biegły dla naszéj rodziny. Z ślicznéj dziewięcioletniéj Maryi zrobiła się piękna szesnastoletnia dziewica z jasnem niebieskiem okiem, z bogatym zwojem złotego włosu; cudnie wyglądała nasza bohaterka, a i w sercu było jakoś dobrze i w głowie nie pusto. Lecz szczęście nie jest udziałem człowieka tu na ziemi, to téż aż nadto prędko uczuła Marya tę głęboką prawdę, że życie to jedno ciągłe cierpienie przeplatane czasem uśmiechem, ale po nim następują zaraz łzy. — Nadszedł rok 1860. a z nim śmierć matki. — Okropny ten cios zranił dwa serca, i Józio uczuł tę stratę, ale tylko na chwilę; łzę z twarzy dziecka można spędzić lada drobnostką, lada zabawką, szczęśliwy ten wiek dziecinny jeszcze nie zna co cierpienie. Marya, którą cios ten dojrzałą zrobił kobietą — bo w nieszczęściu ludzie dojrzewają — uczuła się sama jedna na świecie, wesoły uśmiech uleciał z jéj dziecinnéj twarzy, pojęła że potrzeba żyć dla ojca i dla brata. To też z całą troskliwością dobréj córki starała się o wszystkie wygody i wygódki swojego ojca. Stary kapitan zestarzał się od śmierci żony, zmarudniał, zetetryczał, chodził cały dzień kwaśny, już go nie bawiło jego dawne towarzystwo (dwóch ekswojskowych), nawet jego ulubiona fajka mu nie smakowała, na wszystko zrzędził, a łza zabłysnęła w oku niewinnie złajanego dziewczęcia. Gdy kapitan ją dojrzał, przycisnął dziewczę do swéj piersi, pocałował w czoło i uspokoił ją. „Daruj staremu, córko, to nie moja wina, to śmierć winna temu, czemu mi wydarła moją Marysienkę? od jéj śmierci nic mi już nie smakuje, nikt mi nie dogodzi, czas staremu na mary.“ Na wspomnienie śmierci matki i swego sieroctwa, rozpłakało się dziewczę i znów stary kapitan był w kłopocie, bo musiał tulić i uspokajać córkę, a sam łzy połykał.

Kiedy tak w domu kapitana panował smutek, w narodzie budziło się życie. Dziejowy Łazarz zaczął przewracać się w trumnie, bo uczuł że życie wstępuje w jego członki.

Śnieg zakrył polskie pola, wiatr jakiś dziwny, głuchy zawiał od północy, a w tym wietrze słychać było dziwne głosy. Nad Warszawą pokazał się czerwony krzyż, krzyż krwawy jakby oznaka, że ciężki krzyż każdy przebyć musi, kto chce zmartwychwstać. Serce całego narodu zadrgało jakimś bólem i jakąś nieznaną radością, i cały naród upadł na kolana i śpiewał hymny pokutne. W takiéj to wielkiéj świętéj chwili serca wszystkich łączyły się z sobą, i zdawało się, że nastąpi owa przepowiedziana chwila, gdzie będzie jeden pasterz i jedna owczarnia, wielka! święta! uroczysta była to chwila. — To też każdy swoje smutki i cierpienia na jednym złożył ołtarzu, na ołtarzu wspólnéj nam ojczyzny.

Kapitan odżył, jemu się zdawało koniecznie, że naród pochwyci za oręż, a on znowu poprowadzi młodzież na wroga, jak to było przed trzydziestu laty. Nie wiedział staruszek, że naród co tworzy wielkie rzeczy, powinien wprzód wiele cierpieć; nie wiedział, że chcąc się odrodzić fizycznie, trzeba odrodzić się wprzody moralnie. Zwyczajnie on człowiek wojskowy, nie pojmował ducha czasu, nie pytał się nawet o siły, o zasoby, on dziś, jutro najdaléj chciałby z gołą pięścią uderzyć na nieprzyjaciela; piękny, szlachetny zapał! zwłaszcza w sercu starca, wielka też tam musiała być miłość ojczyzny, gdy jeszcze tyle ognia w téj piersi, ale ostrożnie z tym ogniem, by go nam nie zabrakło w stanowczéj chwili. — My, Polacy z natury,

jesteśmy nieprzyjaciołmi pracy systematycznéj, poledz na polu walki od kuli nieprzyjacielskiéj, zamarznąć w lodowym grobie Syberyi, zginąć od moskiewskiego knuta, zgnić w lochu cytadeli, umiemy, ale pracować na własnym zagonie, podnieść z ucisku i nędzy moralnéj naszego chłopka, który wyciąga do nas rękę po światło dobroczynne, to nam zatrudno; czemu? bo to wymaga wytrwałości i pracy, a nie chwilowego poświęcenia się. — I to było przyczyną główną naszego upadku. Naród budził się, to jest budziła się do życia ukształceńsza część narodu, lud wiejski spał; zaczęto wprawdzie zakładać szkółki, czytelnie, ale to szło jakoś nieszczerze; naród się budził, ale pulsy jego nie biły równocześnie, kiedy Warszawa wrzała życiem, kiedy krew polska w Lutym zbryzgała bruk warszawski, szlachta spokojnie gospodarzyła sobie na swych majątkach, sadziła kartofle, a z nich najspokojniéj pędziła wódkę i z czystém sumieniem rozpajała chłopów. — Kapitan, który sobie wystawiał zawsze szlachcica z szablą na przodzie, srodze się tém oburzał; nie dziw więc, że duszą i ciałem przylgnął do młodzieży, zapraszał ją do swego domu, z nimi razem żył ich nadzieją, ciepłem ich młodego serca ogrzewał poczciwy zapał. Do licznych gości naszego kapitana należał i pan Zygmunt, którego w przeszłym rozdziale naszéj powieści już poznaliśmy, a z którego przeszłością nie omieszkamy zapoznać naszych czytelników. *Ciąg dalszy nastąpi.*

Listy wychodzcy polskiego.

Dla przestrogi wszystkich tych, ktorzy nierozważnie i lekkomyślnie porzucają ziemię ojców swoich i idą szukać szczęścia za górami, podajemy listy oryginalne pisane ręką polskiego wychodzcy, którego nieszczęście zagnało do Ameryki. Listy te rzucają najwierniejsze światło na tamtejsze stósunki i malują w jaskrawych kolorach smutne położenie naszych wychodzców. Drukując te listy w łamach Kuryerka, nie popełniamy żadnéj niedyskrecyi, czynimy to bowiem z wiedzą osób interesowanych.

List pierwszy.

Hamburg, d. 12. Listop. 1864.

Najdroższa moja M.!

Dziś rano o godzinie czwartéj stanąłem szczęśliwie w Hamburgu. — Pierwsze co się dowiedziałem było pomyślne, to jest że okręt „Bawarya“ jutro dopiero rano o 6. godzinie odchodzi. — O godzinie ósméj poszedłem do kupca Hayn, do którego list miałem od bankiera Latza z Berlina, a to jest ten, który mi miał bilet *pierwszéj klassy* wręczyć. — Tak jak w Berlinie tak i tu pokazało się, że pan A. inaczéj umie mówić a inaczéj czynić — z pierwszéj klassy zrobiła się druga, a przytém oświadczył mi pan Hayn, że mi wręczy assygnacyą do Nowego Yorka na 100 tal. — Czy ten pan Hayn ma tam kredyt, czy mi wypłacą, to też jeszcze wielkie pytanie! — Lecz darmo, niech się dzieje co chce, jestem na nędzę i śmierć nawet z głodu przygotowany. — Reszta moich pieniędzy pójdzie tu w Hamburgu; chciałem zostawić rzeczy na koleji, a chociaż się chwieję ze znużenia nie chciałem wziąść stancyi, lecz mi oświadczyli na kolei, że zamykają i niewolno tam przesiadywać. — Chcąc niechcąc musiałem wziąść dorożkę i kazać się zawieść do jakiéj oberzy — wiesz: za samą dorożkę 5 złotych musiałem zapłacić, a chociaż stoję w bardzo podłéj oberzy, to jednak drżę ze strachu co zedrą, bo tu niezmierna drogość — koniec końcem nędza moja zbliża się olbrzymiemi krokami. — Na assygnacyi do Newyorka także będzie strata, tak że ledwie dziewięćdziesiąt kilka talarów się okroi.

W ten moment odesłałem rzeczy na okręt, bo taki jest przepis że dziś trzeba rzeczy oddać, a jutro o godzinie 6. rano ostatni raz będę widział Europę i opuszczę wszystko, wszystko co kochałem na świecie: Ojczyznę, dzieci i Ciebie, a mianowicie Ciebie. — Boże, Boże! zmiłuj się nademną! nie pozwól mi rozpaczać, wzbudź jeszcze we mnie nadzieję, że będę jeszcze Was oglądał, że jeszcze nim oczy na wieki zamknę, raz Cię przytulę do serca...

Już niewiem co piszę, w głowie mi się mąci, o gdybym stracił zmysły stokroć byłbym szczęśliwszym. — Jeżeli A. najmniéj ma czucia i uczciwości, to przynajmniéj 60 tal. co miałem dostać w Berlinie, i te 100 tal. co miałem dostać w Hamburgu, a których nie dostałem, zechce przysłać do Ameryki do Newyorka przez tego samego bankiera w Berlinie, a uratuje mnie przynajmniéj choć na niejaki czas od nędzy. — Ja się będę dowiadywał u tego bankiera w Ameryce co mi ma te 100 tal. wypłacić, nazywa się *Speyer & Comp.* w Newyorku. — Aby nie zaspać odejścia statku, nie będę wcale się rozbierał, tylko na krześle, jak skazany na ścięcie, oczekiwać będę tego momentu, tego okropnego momentu rozstania się może na wieki.

Bywaj więc zdrowa najdroższa, najukochańsza moja żono, bywaj zdrowa Ty aniele dobroci i poczciwości, nie przestań mnie kochać tak jak ja nigdy, nigdy Ciebie kochać nie przestanę, i miéj to przekonanie, że nie będzie chwili abym o Tobie nie myślał, i umierając ostatnia myśl moja będzie o Tobie, ostatnie moje westchnienie będzie Twoje. — Uściskaj biedne moje sieroty, rób im nadzieję że ojciec wróci, że wróci szczęśliwy, bo bogaty, osłodzisz im przynajmniéj tą nadzieją biedę, na którą ich na tym świecie wystawiłem. Bywaj zdrowa, całuje Cię Twój najnieszczęśliwszy mąż

Wiktor.

PS. Pozdrów E. jak go zobaczysz. — Jeśli szczęśliwie stanę na miejscu, to będę pisał do Ciebie, lecz gdybym nawet zaraz na drugi dzień pisał, to jednak blizko 6 tygodni upłynie, nim list mój odbierzesz.

List drugi.

Newyork, d. 10. Grudnia 1864.

Najdroższa i najukochańsza M.!

Po czterech i pół tygodni podróży morskiéj, któréj całéj okropności nie będę Ci opisywał, stanęliśmy dnia 7. b. m. szczęśliwie na ziemi amerykańskiéj w Nowem Yorku — dziś nas jednak wpuścili dopiero do miasta, ponieważ na okręcie u nas wybuchła naturalna ospa, przeto przybyła na okręt komisya z miasta i wszystkim nam passażerom szczepili ospę, a ponieważ nas było przeszło 600 osób, przeto bardzo to długo trwało, i jeszcze po szczepieniu musieliśmy dwa dni na okręcie pozostać. — Wczoraj rano o godzinie piątéj wylądowaliśmy, niewiedząc gdzie się podziać w pierwszym momencie, stanąłem w małéj, lichéj oberzy niemieckiéj niedaleko portu, tak jakby w Poznaniu na Śródce. Jednę tylko noc tam spałem i jeden lichy obiad zjadłem, miałem pokój bez pieca, choć było 8 gradusów mrozu, pościel brudną już pewnie od kilku tygodni niepowleczoną, a mimo tego zrobili mi 5 dolarów to jest 6 tal. 4 zł. ra-

chunku. — Możesz więc sobie zrobić wyobrażenie o panującéj tu drogości. — Para bótów co w Poznaniu 3 tal. tutaj 12 tal. kosztuje, spodnie co w Poznaniu 5 tal. tutaj 20 tal., cygaro u nas 3 grosze tutaj 4 trojaki, za wypranie jednéj koszuli półtora złotego i tak w tém stosunku wszystko tu drogie. — Pomimo żem sobie wszystkiego odmawiał, mimo choroby morskiéj na okręcie, to już w ostatnich dniach podróży nie miałem grosza pieniędzy, i gdyby nie szewc jeden z Newyorka, który mi pożyczył na futro 6 dolarów, to bym się wcale do miasta nie był mógł dostać. — Skoro tylko przeniosłem sobie rzeczy do oberzy (przeniósłem je sobie sam, gdyż za przeniesienie rzeczy trzeba tu 10 złt. zapłacić, a o dorożce ani myśleć, gdyż dorożka jeden kurs kosztuje 3 dolary czyli 4 tal. pruskie) zająłem się zaraz szukaniem tego bankiera, na którego miałem weksel na te 100 tal. które A. assygnował. Nie możesz sobie wystawić, najdroższy aniele, co to jest znaleźć tu kogo, miasto mające z przedmieściami blizko milion ośmkroć stotysięcy mieszkańców, ulice po dwie i pół trzeci mili naszéj długie, na rogach ulic tylko napisy angielskie, kogo się po niemiecku lub po francuzku zapytasz nie rozumie i obryknie się jeszcze po angielsku, i tak ośm godzin szukałem, aż przecież znalazłem tego bankiera, który mi téż te 100 talarów, czyli podług tutejszych pieniędzy 69 dolarów wypłacił. — Osłabiony jeszcze po chorobie na okręcie, chory zapewne od zaszczepionéj ospy, która mi się bardzo zaogniła, ustałem, zemdlałem zupełnie, a tu ze dwie mile po bruku do domu i nie wiem gdzie i którędy ku domowi, co to za położenie! Usiadłem na wschodach przed jédnym domem aby wypocząć, a łzy gorzkie rozpaczy cisły mi się do oczu, jakiego ja losu na moje stare lata doczekałem!! Tak, tak, najdroższy mój aniele, łatwo to wymówić: jedź do Ameryki, lecz jechać w moim wieku, jechać bez funduszów, to niewypowiedzianie, okropnie, to nie do Berlina lub do Paryża, wygodnie koleją i z pieniędzmi, lecz cztery tysiące mil przez Ocean w cierpieniach i biedzie — gdybym Ci miał opisać tysiączne przykrości takiéj podróży, arkusze bym zapisał!! Mój Boże! osładzałem sobie to nędzne życie tą nadzieją, że jeźli mnie Pan Bóg nie opuścił zupełnie, i byłbym w stanie wyżywić Cię tu i dzieci, żebym wam posłał na drogę, żebyśmy się jeszcze połączyli, lecz i tę nadzieję straciłem, gdyż musiałbym nie mieć serca ani litości nad Tobą, gdybym od Ciebie takiéj podróży wymagał, któraby Ci zdrowie Twoje słabe a nawet i życie podkopała. — Po długiém szukaniu i pytaniu, po zapłaceniu nareszcie prowadziciela, któremu musiałem dać dolara, przyszedłem nareszcie o godzinie trzeciéj w nocy na pół już prawie nieżywy do mojéj oberzy. Wypocząwszy kilka godzin, poszedłem naprzód do tego szewca wykupić moje futro. — Niemasz tego złego coby nie wyszło na dobre, i tak zastawienie mojego futra wyszło mi o tyle na dobre, że ów dobry Niemiec, który zna dosyć Newyork, pomógł mi znaleźć stancyą — mam więc stancyą u staréj Niemki wdowy na Chrystii-Street Nr. 1. — Mam stancyą tak dużą jak trzecia część naszéj kuchni, na czwartém piętrze bez pieca, tylko stół, jedno krzesełko i żelazne łożko, do tego zgodziłem się z nią i o obiad — za tę stancyą więc i za obiad, choć nie mam ani opału, ani śniadania, ani kolacyi, muszę płacić, i to z wielkiem targowaniem się, 30 dolarów na miesiąc — musiałem naturalnie z góry na miesiąc zapłacić, i tak więc już połowa całego mego funduszu poszła. Lecz cóż teraz daléj? Co tu począć, zkąd grosz zarobić?

Ciąg dalszy nastąpi.

Nakładem i pod redakcyą Waleryana Kurowskiego. — Czcionkami drukarni M. Zoerna w Poznaniu.